

## MATO VIRGEM.

---

Jedną z najbogatszych a dotąd najmniej znanych części Ameryki południowej stanowi ogromny kraj trójkątny, którego podstawa wspierając się na stoku zachodnich *Andów*, zniża stopniowo i znika nareszcie około przylądka *St. Roque*, w wodach morza Atlantyckiego. Brazylia zajmuje tę olbrzymią przestrzeń, której naturalnymi granicami i bramami zarazem są dwie największe w świecie rzeki: *Amazonas* i *Purana*. Lubo kolonizacye Brazylii od wieków rozpoczęto, niemniej dziś jeszcze państwo to zasługuje na pierwotną swą nazwę *Lasu dziewiczego* (*Mato Virgem*), którą mu nadali wierni towarzysze sławnego odkrywcy Cabrala.

Dla podróżnika *lasy dziewicze* Brazylii przedstawiają trzy odmienne strefy: strefą zamieszkałą i obfitującą w domy gościnne czyli gospody, strefę *plantacji*, i strefę bezludną dziewiczych lasów. Pierwsza z nich jest najmniejszą i kończy się już w niewielkiej odległości od morskich wybrzeży i główniejszych miast w kraju. Okolica ta nie przedstawia żadnych przyjemności dla podróżnego, osobliwie też Europejczykowi, który nie przywykł do tamiecznych domów gościnnych, rojących się miryadami owadów i cuchnących gorzałką, solonemi rybami i potem murzynów.

W strefie *plantacji*, podróżuje się wybornie! Mając list polecający do jednego z plantatorów można być pewnym gościnnego przyjęcia u gospodarza, który go znowu poleci dalszemu sąsiadowi. Tym sposobem z łatwością

co dzień odbywać można podróż od jednej plantacyi do drugiej, a wszędzie w gościnie czekają cię prawie europejskie wygody.

Inna rzecz gdy wstąpisz w trzecią strefę, *w las dziewiczy*: nie znajdziesz tu żadnej wygody uciwilizowanego świata, ale znajdziesz tu nieznaną dziewiczość przyrody. Niknie wszelki ślad stopy ludzkiej, a podróżny zostawiony jest własnemu przemysłowi. Do przebycia ich musi używać we dnie albo wątlego czółenka (pirog) Indyanina wzdłuż rzeki, albo też ostrym nożem torować sobie drogę w dziewiczym lesie przez konary drzew, i gąszcze ciernistych krzewów. Gdy go noc zaskoczy, musi rad nie rad sam sobie naprędce zbudować jaki taki szałas z gałęzi i liści, albo też użyć pomocy krajowca, jeżeli miał tę przezorność że go wziął za towarzysza. Pożywienie w czasie takiej wycieczki, składa się zwykle z mąki zwanéj *manio*, i z grochu kraszonego trochą słoniny. Jeżeli zabraknie takiego pożywienia, musi się ograniczyć na owocach jakie znajdzie w stepie, lub też posila się tém, co sam upoluje.

Chcąc żeby wycieczka do lasu dziewiczego, powiodła się dobrze, trzeba wybrać na to stosowną porę roku. W Brazylii południowej najlepiej jest podróżować od maja do końca września. W tym okresie czasu panuje wieczna wiosna, jaką tylko cieszy się Prowancya francuzka lub Italia. Chłodne noce i orzeźwiające poranki w Brazylii, wynagradzają upał denerwujący we dnie; bo gdy słońce dojdzie południa, niebiosą zdają się goreć, a powietrze zgęszczone, staje się ciężkiém, duszącém. Ulewne, potopowe deszcze, ustawicznie tam około kwietnia jak wodospady spływają, a następnie ulotniając się pod wpływem promieni słonecznych, parując, całe okolice gęstą mgłą otaczają. Ta ciągła wilgoć powietrza sprawia dziwne, a tak zwyczajne w tamecznym klimacie zjawisko, że niektóre pasożytne rośliny, a zwłaszcza pewne gatunki grzybiastych porostów, dochodzą do olbrzymiej, potwornej wielkości. Zdarza się bardzo często, że podróżny, nocujący w tamecznych okolicach pod odkrytém niebem, przez dwa lub trzy dni, wstawszy zrana, znajduje obuwie swoje pokryte pleśnią białawą wyrosłą na dwie linje niekiedy.



Wśród bujnej téj roślinności, łączą się z wrzącą atmosferą zjawiska elektryczne, które często nabierają niesłychanej potęgi. W ciągu sześciu miesięcy ulewnych deszczów, dzień każdy zwiastowany bywa porankiem pięknym i dziwnie wspaniałym. Ale już o godzinie dziewiątej z rana, słońce tak zaczyna dopiekać, że oprócz murzynów pracujących na plantacjach w pocie czoła, każdy inny z pola chroni się pod dachem. Około południa ukazują się na niebie czystém białawe chmury, które wierzchołki gór otaczają. Chmury te są zapowiedzią zbliżającej się burzy. Nawałnica tworzy się najpierw na szczytach niebotycznych *Andów*, a gnana wiatrem wschodnim, przepływa szybko pasmem gór, spadając na równiny rozciągnięte do Atlantyckiego oceanu. W niespełna dwóch godzin, całe niebo bałwani się chmurami tylko. Głuche grzmoty, z początku zdala, zapowiadają bliską burzę; z coraz głośniejszemi, spadające duże krople szeleszczą już po liściach drzew, co chwila jasne błyskawice krzyżują się w powietrzu. Nagle straszny huk się rozlega piorunu, wodospady deszczowe z niesłychaną gwałtownością spadają z niebios na ziemię, a oślepiające błyskawice, zdają się zapalać cały świat płomieniem.

Dzikie zwierzęta uciekają do swoich nór i kryjówek; muły dźwigające ciężary, drżąc tulą się nawzajem do siebie; tysiące ptaków napelniające gwarem uroczystą ciszę dziewiczego lasu, milkną nagle, a z niemi ucicha cała przyroda, aby dać pole téj strasznej wyjącej burzy, co przejmując grozą człowieka.

Krajowcy nawet przywykli do niej drżą i truchleją, kiedy się dłużej niż zwykle rozhuka.

„W czasie mego pobytu (opowiada Adolf d'Assier) w *Serra do Mar*, przed straszliwą burzą schroniłem się pod dach tak zwanéj *Venda*, do jednego z krajowców, u którego znalazłem gościnne przyjęcie. Niemogąc znieść olśniewającego blasku błyskawic i piorunów, cofnąłem się do mojej gościnnej izdebki, a pozamykawszy okiennice, rzuciłem się na posłanie w nadziei, że wśród ciemności, będę mógł nieco spocząć. Lecz gdzie tam! Blask rażący błyskawic i w tym zakątku prześladował. Zdawało się, że dłoń jakaś niewidzialna przez sciany domu w oczy

mi snopy światła rażącego rzucała, a ulewny daszcz wdzierający się do izby przez szczeliny dachu i pułapu przepędzał mnie z kąta do kąta.

Widząc daremne usiłowania w znalezieniu spokojnej ustroni, wpadłem do mieszkania gospodarstwa; po długim szukaniu znalazłem ich w sypialni: pocziwi ludziska klęczeli przed figurą Sgo Antoniego, którego Brazylianie uważają za swego potrona, i zarazem cudownego zbawcę podczas burzy, grzmotów i straszliwych piorunów: przejęci trwogą nie widzieli jak wszedłem i jak opuściłem izdebkę. Jak tyłka burza przeminęła, oboje przyszli do mego pokoiku, zobaczyć czy ja jeszcze żyję, czy czasem piorun mnie nie zabił. (1)"

Pierwsze wrażenie jakiego podróżnik doznaje na widok lasów dziewiczych, sprawia podziw niewysłowiony, połączony z pewnym rodzajem, wewnętrzną, zabobonną trwogą. Lasy te odwieczne, pełne tajemniczości, dziwnie poetyczne, przypominają mimowoli owe uroczyste gaje Druidów, wśród których Gallowie poświęcali niegdyś krwawe ofiary. Tu wśród tych puszczy, wiecznie młoda i wiecznie odradzająca się przyroda, staczała przez długie wieki walki prawdziwie tytaniczne. Jakiż tu dramat odbywać się musiał wieǵu długich wieków! Gdyby olbrzymie, prastare drzewa mówić umiały, jakże ciekawe dzieje o sobie mogłyby nam opowiedzieć, z tajemniczej przeszłości! I dziś jeszcze ten las dziewiczy, ileż nie zawiera w sobie niezbadanych tajników, ileż nieznanych, dziwnych a nadzwyczajnych nie przedstawia zjawisk przyrody? Tu pod obcym oku Europejczyka krzewem, z kwiatem balsamicznej woni, ukrywa się wąż olbrzymi a jadowity, zdobny pięknymi barwy; tam znów przy samym pniu rozłożystego drzewa czycha na swą ofiarę *jaguar* lub *kaiman* niebezpieczny.

Jeżeli podróżnik wiedziony ciekawością, gardząc niebezpieczeństwem posunie się w las śmiało, i nie cofnie przed jego murem zielonym, wnet ujrzy że jest otoczony, oplątany gęstą siecią traw, roślin i krzewów najrozmaitszych i konarami drzew wiekowych; niebaczny! napróżno używa rąk na pomoc: nogi jego nadaremnie szukają stałego

(1) Revue des deux Mondes.



oparcia: ciernie i kolce, krwawią mu ciało. Biedny! sam nie wie co począć w tym gąszczu nieprzejrzanym, nieprzebytym, a ciemność lasu otaczająca go dokoła, powiększa jeszcze bardziej okropność położenia. W jednej chwili miryady jaj ptasich, gąsienice, owady niezliczone i wszelkiego rodzaju pasożyty, przesiąkają najgrubszą odzież i dostają się do ciała. Jeżeli wytrwa wszystko, co go na wstępie lasu dziewiczego spotka, zagłębiając się dalej, wkrótce otaczający gąszcz rozjaśni się powoli, i znajdzie łatwiejszą drogę. Kroki stawiać będzie pewniejsza, wzrok jego z łatwością rozpoznawać zacznie przedmioty wśród zieleni drzew i naraz roztoczy się przed nim czarodziejski obraz, który go urokiem swoim olśni i zachwyci.

Cudem zaiste prawdziwym jest las dziewiczy, wiecznie zielony, istny olbrzym tropikowej przyrody! W lesie tym wszystko żyje, oddycha odwiecznym zdaje się życiem, wszystko się w nim wieczne, na nowo odradza, odmładza cała roślinność i wszelkie żyjące stworzenie! Ileż tam bogactwa, sił przyrody, których sobie wyobraźnia najżywsza przedstawić nie zdoła. A wszystkie te skarby niewyczerpane, prawie nietknięte są jeszcze dotąd ręką ludzką. Przypatrzmy się bogatej przyrodzie dziewiczego lasu Mato Virgem, posłuchajmy co nam o nim wiarogodny świadek opowiada.

„Nad brzegami wielkich rzek Brazylii, nad *Rio Doce*, *San Francisco*, *Tocantins*, *Amazonas*, lasy dziewicze przybierają olbrzymie rozmiary, a roślinność w nich pod wpływem gorącego, tropikowego klimatu i potopowych deszczów, równie olbrzymia i kolosalna, zdumiewająca! Trawy, kwiaty, rośliny wszelkiego rodzaju, liście na drzewach, wszystko to odznacza się osobliwym swym kształtem, rozmiarem, cudotwornością. A gdy zagłębisz wzrok swój w las tajemniczy, gdy spojrzysz na ten ocean wiecznie zielony, wiecznie odmładzający się, uroczy, doznajesz nieznanych wzruszeń i upajającego serce zachwyty!

„Jak liście i kwiaty, tak również drzewa i rośliny w dziewiczym lesie Mato-Virgem, odznaczają się swą rozmaitością do nieskończoności. Już sama bujna, samorodna roślinność, przedstawia tu niewyczerpane bogactwo

natury. Nietylko albowiem najniezbędniejsze, w surowym stanie potrzeby dla utrzymania życia ludzkiego, ale wszelkie przedmioty, jakich sam jeno przemysł zwykle człowiekowi dostarcza, w oczach jego wyrastają z ziemi. Chleb, mleko, masło, owoce, kwiaty pełne aromatycznego zapachu, trucizny, liny, nawet naczynia kuchenne, wszystko to w różnobarwnym nieładzie tu znaleźć można posród dziewiczego lasu. Jeżeli Indyanin potrzebuje schronienia, to wystarczy mu kilka chwil tylko aby pod drzewem *ipariba*, zbudować sobie naprędce szałas wygodny. Liście jego służą mu za posłanie, gałęzie są ochroną przed słońcem, owoc wysmienitego dostarcza pożywienia, kora wreszcie tego dobroczynnego drzewa, zapewnia mu skuteczny środek przeciwko febrze. *Ipariba* jest drzewem tak twardém jak żelazo i dostarcza Indyaninowi trwałe a wyborny materiał na narzędzia rolnicze. Jeżeli sprzykrzy sobie życie na jednym miejscu, wyłobi sobie i wypali wewnątrz mniejsze jakie drzewo, aby zrobić z niego czółno, czyli tak zwany *piróg*. Z pnia bambusowego wyrabia rozmaite kuchenne naczynia i cały sprzęt domowy. Wierzchołek drzewa tegoż dostarcza mieszkańcowi dziewiczego lasu wyborny pokarm. Z włókna liści bambusowych Indyanka różne wyrabia tkaniny dla siebie, męża i dzieci; zdrzewa bambusowego lub *iporiby* Indyanin przysposabia sobie strzały, których używa do łowów lub przeciwko swoim wrogom. *Ipariba* jest dla Indyanina, nieocenionym skarbem: drzewo, jest dlań miejscem stałego schronienia, garderobą, spiżarnią i apteką."

Adolf d'Assier przekonał się z własnego doświadczenia, co może dostarczyć na prędce las dziewiczy. Posłuchajmy jego opowieści. „Chodząc po lesie, zapytałem starego murzyna, czy nie mógłby bez wielkiej trudności przysposobić dla mnie na prędce śniadania. „Nic łatwiejszego, odpowiedział, mój nóż wszystkiemu temu zaradzi.” Następnęj niedzieli udaliśmy się bardzo rano do lasu na dwóch mułach w nóz zaopatrzeni. Historia życia mego towarzysza murzyna bardzo ciekawa. Otóż mój czarny przewodnik, a zarazem kucharz w jednej osobie, będąc niegdyś wodzem jakiegoś pokolenia murzyńskiego około



wybrzeży Gwinei (Guinea), miał ten szlachetny zwyczaj, że kochanych swoich podwładnych sprzedawał często korsarzom handlującym niewolnikami w zamian za chleb lub rozmaite świecidełka, za szkiełka nawet. Gdy raz nie-mógł uzupełnić takiej liczby niewolników, do jakiej się zobowiązał, kapitan korsarskiego okrętu zaprosił go na pokład ażeby się z nim napił po szklance groku. Takiego zaproszenia nigdy żaden murzyn nie odmawia. Lecz jakże mój murzyn zdziwił się, gdy następnego poranku, ujrzał się na pełnem morzu, okuty w kajdany! Oswojony z niewolnictwem oddawna, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, pocieszał się tą myślą ugruntowaną na wierze przodków, że dusza jego skoro się rozstanie z ciałem, powróci natychmiast do swej pierwotnej ojczyzny, do drogiej Afryki! Nic też dziwnego, że posiadał gruntowną znajomość lasów dziewiczych, i dla tego z wszelką dokładnością opisywał mi wszystkie rośliny i zwierzęta, jakie napotykalśmy po drodze, objaśniając każdą rzecz po szczególe, a często ostrzegając o grożącym niebezpieczeństwie. „Niech *Senhor* nie zbliża się do tego pagórka, po lewej stronie; jest to mrowisko, niebezpieczne bardzo gniazdo olbrzymich mrówek. Gdyby *Senhor* chciał przeszkadzać ich pracy, mogłyby *Senhora* i muła jego skonsumować łatwo.”

To mówiąc mój murzyn, trzymając się zdala od gniazda mrówczego, wołał zboczyć i obrać dłuższą drogę. W samej rzeczy, gniazdo mrówczane, mimo którego przechodziliśmy, było istną twierdzą warowną, wielkich, olbrzymich mrówek, których w tamiecznej gorącej strefie jest pełno a przed niemi truchleją murzyni i Indyanie...

— Niech tylko *Senhor* uważa, rzekł znowu mój przewodnik, w tych bagnach które na mułach naszych przebywamy znajduje się mnóstwo *kaimanów*. Tu znów *Senhor* znajdzie tak zwany *chleb małpi*, owoc który małpy bardzo lubią.”

I w tej chwili murzyn wskazał ręką na pewien gatunek owocu, mającego wielkie podobieństwo do jabłuszka jasno żółtego koloru, dodając:

— Owoc ten, nie odznacza się lepszym smakiem, jednakże jest wielu ludzi, którzy chętnie go jedzą.

Kilka godzin jechaliśmy wciąż, przez stare, oddawna plantacye. Przez całą tę drogę niebyło ani chwili, żeby murzyn nie zwracał uwagi mojej na jakiś ciekawy, zajmujący przedmiot, to na jakiś rzadki gatunek owocu, z którego *Senhory* robią konfitury, to na różne lecarskie rośliny, to na bagna i strumienie, po nad brzegami których, nieraz sam zabijał olbrzymie węże, to na lepianki, do których murzyni i murzynki na noc się zgromadzają. Aż tu nagle, wśród ciekawych opowiadań murzyna, kiedy już pierwsze kroki nasze posunęliśmy w las dziewiczy, dał się słyszeć straszny i dziwny łoskot i huk podobny do odgłosu grzmotów: z pewną obawą zapytałem mojego przewodnika, cobyto wszystko miało znaczyć?

— Niech się *Senhor* niczego nie boi, odrzekł mi; to tylko małpy robią taki harmider, zwyczajny pomiędzy niemi, zwłaszcza kiedy rano, same brodate i samice przysposabiają swoją toaletę i mizdrzą się do siebie zwyczajnie jak małpy.

Każdy samiec którego łatwo rozpoznać można po długiej brodzie, dokazuje z małpami i rozmaite z niemi na drzewach wyprawia zbytki, gdyż każdy z nich trzeba wiedzieć otoczony jest zazwyczaj swoim haremem, który się składa przynajmniej z dwunastu samic. Te na wyscigi stroją zaloty do swego sultana, okrywają go tysiącami pieściznami, i zarówno z nim dokazują na gałęziach drzew obciążonych kokosowymi orzechami, lub innymi owocami, które często zrywają i rzucają na swoich nieprzyjaciół na ziemi. Ztąd też właśnie pochodził ów nadzwyczajny hałas i łoskot ogłuszający.

„Wielką miałem ochotę przypatrzeć się zblizka całej tej rannej zabawie małp, (mówi Adolf d'Assier); lecz gdyśmy zbliżyli się do harcowników wesołych, wszystkie uciekły małpy przeskakując z jednego drzewa na drugie. Chodząc już długo po lesie, obraliśmy w nim jedno z piękniejszych polan, bardzo dogodne na miejsce wypoczynku. Murzyn wziął się zaraz do dzieła. Najpierw zagłębił w ziemi nóż swój rękojeścią, otoczył go suchym mechem, wsadził kapiszon na koniec ostrza, i wnet przez silne uderzenie wydobył iskrę, od której mech zajął się płomieniem. Gdy ogień był już rozniecony, wyjął nóż z ziemi,



poszedł starać się o naczynia kuchenne, i o wiktuały do gotowania. W dziesięć minut był już z powrotem, niosąc w jednej ręce gruby bambus, w drugiej zaś trzymał kwiat a raczej koronę z młodej palmy; następnie wykroiwszy z bambusu kawał z dwoma kolankami przegradzającymi bambus, tworzącymi w nim dosyć obszerną próżnię, zrobił z jednej strony bambusu otwór czworograniasty, przez który powkładał wewnątrz pokrajaną na drobne kawałki koronę palmową: nareszcie nalawszy wody do zaimprovizowanego przez siebie garnka bambusowego, mocno zatkał go od wierzchu i zatknął wpośród ognia. Widząc to wszystko, zacząłem się już lękać o moje śniadanie, gdyż bambus uważałem za materiał nie zbyt ogniotrwały: ale mój kucharz z zimną krwią cechującą murzynów, rzekł do mnie:

— Niech *Senhor* będzie spokojny, dopóki tylko wody tam niezabraknie, garnek zupełnie bezpieczny.

I pobiegł do blizkiego strumienia, nzbierał nad jego brzegiem rzeżuchy obficie rosnącej w Ameryce południowej, wrócił z nią niebawem. Tu wziął przemyślny ten człowiek kawał bambusu, wystrugał z niego miseczkę, przygotował mi w niej sałatę z rzeżuchy przyprawiwszy ją pieprzem i sokiem z cytryn, które po drodze nazywał: pieprz zastąpił sól, a sok cytrynowy ocet i oliwę. Z reszty bambusu dowcipny murzyn wystrugał mi jeszcze talerz i kubek. Po przygotowaniu tych naczyń niezbędnych, czarny kuchmistrz zwrócił swą bacność na garnek będący w ogniu, a gdy spostrzegł że bambus zaczął się zwęgląc z wierzchu, wydobyl go z ognia i zminą zadowoloną rzekł do mnie:

— *Senhor!* śniadanie już jest gotowe!

Zasiadłem więc: kamień płaski służył mi za stół; mura wa była dywanem. Musiałem oddać sprawiedliwość nie zwykłej potrawie przyrządzonej z korony młodej palmy, której smak wielkie miał podobieństwo do świeżych pieczarek. Sałata była przewyborna, a na wety, upiekłem sobie w żarzewiu pełną czarbkę kasztanów: po śniadaniu przewodnik mój nader usłużny odezwał się do mnie:

— Jeżeli *Senhor* życzy sobie odbyć *siesta* (spoczynek), to mogę urządzić na prędce pod drzewem cienisty sza-

łasik. Przez gęste gałęzie nie będzie dopiekać słońce, a Senhor może się bezpiecznie przespać. Tymczasem pomyślę o obiedzie, zastawię sidła i ułowię *armadilla*; w lesie jest dosyć tych zwierząt, wszędzie można widzieć ich nory. Mięso ich ma smak delikatny, a pancerz ich posłuży nam za miskę. W gorącym popiele upiekę znany mi doskonale pewien gatunek korzonków, które w smaku niewiele ustępują wybornym *batanom*. Owoc *goyav'y* który w pobliżu widziałem na drzewie, uzupełni nasz obiad, a wyśmienite *pitangas* będą na wety.

Nieraz jeszcze później miałem sposobność robić wycieczki do lasu dziewiczego, a nigdy nie mogłem wyjść z podziwienia, na widok przemyślności niesłychanej, jaką się odznaczał zawsze na w półdziki człowiek w tej strefie gorącej. Wśród tych bezludnych a bezmiernych puszczy, można z łatwością odbywać podróże bez obawy braku pożywienia, wszystkiego jest tu podstatkiem."

Z dzikich pokoleń, które jeszcze przed odkryciem Ameryki zamieszkiwały w lasach dziewiczych, niewiele już w naszych czasach dochowało się szczątków. Stare, arcyrzadkie kroniki i podania pierwotnych krajowców, nauczają nas, że kiedy *Cabral* wylądował w tej części świata, w Południowej Ameryce, dwa potężniejsze pokolenia Indyan dawnych tak zwanych *Tupis i Tupuyas*, walczyło z sobą zacięcie, o posiadanie rozległych okolic i panowanie nad wybrzeżami oceanu Atlantyckiego. Ostatni potomkowie pokolenia *Tupis*, stanowią dzisiejszą ludność *Bugrów (Bugres)*, *St. Katharina* i *St. Paulo*. Byli oni najstarszymi prawdopodobnie mieszkańcami kraju, gdy tymczasem pokolenie drugie *Tapuyas*, przybyło zapewne z północy. Potomkowie ich *Botokudy*, którzy błakają się wciąż po nad granicami *Minas Geraes*, zachowali po dziś dzień widocznie typowe cechy mongolskiego pochodzenia. Nieliczni już potomkowie dawnych pierwotnych Indyan nie zdołają już długo powstrzymać usiłowania nowych europejskich osadników, i ciąglemu postępowi cywilizacyi, dziś tylko przenieśli pomstę swoją na innych wrogów swoich, którzy obecnie są jedyną przednią strażą w dziewiczych lasach Południowej



Ameryki. Tymi zaciętymi wrogami, któżby pomyślał — są małpy, co wśród palm kokosowych i innych drzew dzikich, z kryjówek niedostępnych, czychają na swych nieprzyjaciół; małpy, które zarówno są niebezpieczne dla Europejczyka, jak zatrute strzały dzikiego Indyanina.

Murzyni uważają także małpy za wrodzonych osobistych wrogów swoich. One to pustoszą im plantacye ryżu, za który krom pożywienia jakie zapewnia, nabywają dla siebie tytoń i wódkę.

— Byłoby jeszcze pół-biedy, tak począł się żalić murzyn przed Adolfem d'Assier, gdyby te przekłete zwierzęta, ograniczyć się chciały tylko na tém, co się same nażrą; ale gdzie tam! przekłete małpy nie tylko same dobrze się nakładują, ale zrywają i niszczą bezużytecznie kłosa, obwieszają szyje swoje wieńcami ryżowych kłosów, i zanoszą je swym dzieciom.

Nie też dziwnego, że murzyni pomimo bojaźni zabobonnej przed małpami, zapamiętale na nie polują, lubo nie zawsze pomyślnie. Czarny niewolnik w niedzielę tylko ma czas wolny do polowania, ale ten dzień niebezpieczny znają małpy doskonale, i trzymają się na baczności.

O rzadkiej przezorności, jakiej małpa, najpodobniejsza ze wszystkich zwierząt do człowieka daje dowody w chwili grożącego niebezpieczeństwa, Adolf Assier opowiada następny wypadek.

Prosił on jednego z murzynów, żeby mu ubił małpę, której mięso sławne jest z delikatnego smaku, żeby mógł go skosztować. Ale murzyn zamiast małpy ubitej przyniósł z polowania ogromną jaszczurkę, a téj mięso ma być tak smaczne jak z młodego *kaimana*.

— Alboż to jaszczurka jest małpą? zapytał murzyna.

— Senhor, nie moja w tém wina, żem słowa nie mógł dotrzymać, odpowiedział czarny myśliwiec. Wyobraź sobie Senhor, dwa razy brałem na cel przekłete zwierzę, ale za każdym razem spuściłem strzelbę do nogi. Obrałem stanowisko na krańcu plantacyi ryżowej, i stałem ukryty za drzewem czychając na moją zwierzynę. Ponieważ dzień dzisiejszy nie jest niedziela, sądziłem że niezadługo ujrzę oczekiwaną małpę. Była to samica;

ale nikt nie uwierzy co to za złośliwe i ostrożne zwierzę ta małpa: o sto kroków zwietrzy myśliwego. W tej chwili właśnie, gdym wziął na cel, spostrzegła niebezpieczeństwo; a że miała przy sobie swoje małpiatka, i nie mogła się od nich oddalić, przyszła na taki dowcip żeby mi je przedstawić, i zdawało się, jak gdyby chciała ich widokiem wzruszyć mnie i zarazem prosić bym jej nie złego nie czynił. Wachalem się przez chwilę co mam zrobić? Wszelako wziąłem ją znowu na cel i chciałem już odwieść kurek, gdy wtém małpa to widząc, tak pocieszne zaczęła stroić miny by pozyskać łaskę, żem powtórnie strzelbę na dół opuścił. Tu, jakby na podziękowanie za podarowanie jej życia, figle, wykrzywania i podrzeźniania siebie saméj, tak śmieszne wyprawiała, że musiałem śmiać się szczerze, a małpa przekłeta zniknęła mi z oczu.

— To trzeba było inną jaką małpę upolować, przerwałem murzynowi, a on mi na to:

— Widać że *Senhor* nie zna małp wcale. Nie wiem czy małpy mają jaką własną mowę, ale to pewna, że dziwnym jakimś sposobem umieją się pomiędzy sobą porozumiewać. Niech tylko jedna z nich spostrzeże łufę od strzelby, a zaraz o tém uwiadamia wszystkie, tak że myśliwy gdy stanie na stanowisko gdzie zwykle małpy przebywają, już z nich ani jednej nie znajdzie. Otoż i tym razem nie mogąc ubić żadnej małpy, przyniosłem *Senhor'owi* w zamian piękną jaszczurkę. Jej mięso ma smak wyśmienity, lubo nie jest tak delikatne jak z małpy.

Jak małpy czynią wielkie spustoszenia w plantacjach ryżu, tak znowu jaguary są straszną plagą rzucając się na bydło, konie i trzody owiec. Jaguar mniej odważny jak tygrys, ale przechodzi go krwiożerczością. Rzadko mimo to napastuje człowieka jeżeli nie rozdrażniony. W pobliżu miast i wielkich plantacyj znikł prawie zupełnie uchodząc w głąb lasów niedostępnych. *Kangury*, dzikie koty, czyli żbiki znajdują się jeszcze w niektórych okolicach. Kot dziki jest bardzo niebezpiecznym sąsiadem osad: niszczy niesłychanie drób i zwierzęta domowe; ale zarazem oddaje niemałe usługi, gdyż zaciętym



jest nieprzyjacielem węzów: skoro którego spostrzeże, najczęściej jednem uderzeniem zabija go na miejscu.

Chociaż w tych krajach mnóstwo jest węzów, te nie tyle są niebezpieczne co jaguary. Zazwyczaj węże są bojaźliwe, i za najmniejszym szelestem zaraz uciekają, wtedy tylko używając strasznych jadowitych zębów, gdy kto je nadeptnie. Kaiman jak lis wróg drobiu dławi często i trzodę chlewną, ale te zwierzęta i węże nie tyle stoją na przeszkodzie w rozpowszechnieniu się osad w krajach południowej Ameryki, ile tameczne owady. Straszna to plaga, zalewająca jak potop kraje Brazylii. Owe *bichos*, *carropatos*, *turrachudos*, *mutucos*, *carapanos*, *cupim*, *gofonhotos* i miliardy innych, są torturami tamecznych mieszkańców: tych drobnych mikroskopijnych dręczycieli; wszędzie jest pełno w wodzie, powietrzu, w ziemi. Kształtem, barwą, rozmiarem, różnią się nieskończenie od siebie i stanowią różnorodność zdumiewającą: wiele z nich jest bardzo jadowitych. W domach trudno się od nich zabezpieczyć: jedne ukazują się w dzień, drugie w nocy. Zaledwie zagasisz świecę, niezliczone mnóstwo występuje ze wszystkich szczelin i kątów, wszędzie się roją. Za rozpaleniem światła wszystko znika. Te męki nieopisane jakie cierpi Europejczyk od tych owadów, nagradza poczęści widok czarowny, nieprzeliczony chrząszczyków uroczu świecących po północy, stokroć świetniejszych od naszych świętojańskich robaczków. Błyszcza one jak ożywione gwiazdki, jak ruchome drogie kamienie, mieniające się tysiącem barw cudownych: wtedy dopiero przyroda strefy tropikowej przedstawia się przed twym wzrokiem w całej majestatycznej piękności. Te świetne owady, te gwiazdki różnokolorowe, to gasną, to znowu się ukazują w spiralnych kolumnach miryadami i urokiem swym pieszczą oczy, a duszę w zachwyt wprawiają. Wówczas pod wpływem tego widoku, pod niebem Ameryki i jej *dziewiczych lasów*, zapominasz o ziemnej rzeczywistości, a myślą i sercem unosisz się w świat cudowny pełen czarów nieznanym.

T. N.

